

Zaremba, Roman

Arsenał na wieży kościelnej

Przegląd Pruszkowski nr 1, 14-45

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Roman Zaremba "Jarema"
Magazynier broni VI Rejonu
VII Obwodu "Obroża" Armii Krajowej

Arsenał na wieży kościelnej



Roman Zaremba - "Jaremi"

jak wynika z załączonych dokumentów z pożytkiem dla organizacji.

Miejsce przechowywania broni

Właściwy magazyn broni za zgodą ks.kanonika Franciszka Dyżewskiego²⁾ - proboszcza rz.-kat. parafii Żbików, został urządzony na wieży kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, w powstałej przy budowie, wnęce muru, o wymiarach 4 x 11.5 x 2.5 m - pomiędzy

2.Ks.kanonik Franciszek Dyżewski był proboszczem parafii żbikowskiej w latach 1929-1953. Organizował i rozwijał różne formy życia społecznego, m.in. stworzył Dom Parafialny z teatrem amatorskim. Członek Rady Miejskiej miasta Pruszkowa w latach 1934-1939. Podczas okupacji niemieckiej, członek Komitetu Obywatelskiego i Komitetu Samopomocy Społecznej.



Roman Zaremba po powrocie z wojska w 1921 roku; miał wówczas 16 lat.

do akt

Warszawa, dn. 17. WRZ 1932 r. 1932

KOMITET
KRZYŻA I MEDALU NIEPODLEGŁOŚCI

Konto P. K. O. Nr. 24560

Nr. 15/6323

Pan Zaremba Roman

Pruszków

Zarządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej z dn. 17. WRZ 1932 r. oświadczył Pan
odznaczony

MEDALEM NIEPODLEGŁOŚCI.

Proszę o wpłacenie do P. K. O. według załączonego
czeku st 8. - (osiem) na konto Komitetu Nr. 24560,
a odznaczenie wraz z dyplomem przesłać Panu
Przeznaczane bezpośrednio.

KIEROWNIK BIURA KOMITETU

M. K.
Pr. S. A. G. w k i p o z.

Odcisn Legitymacji Niepodległości.

19a

Imię i nazwisko

Strona prawa

Fotografia

Nr. 2917-15/6323

Biurowo

Komitetu Krzyża i Medalu
Niepodległości

Podpis właściciela legitymacji

Zaremba

ii p. Roman Zaremba
jest odznaczony Medalem Niepodległości
Sekretarz Generalny

P. K. O. wg tabeli B

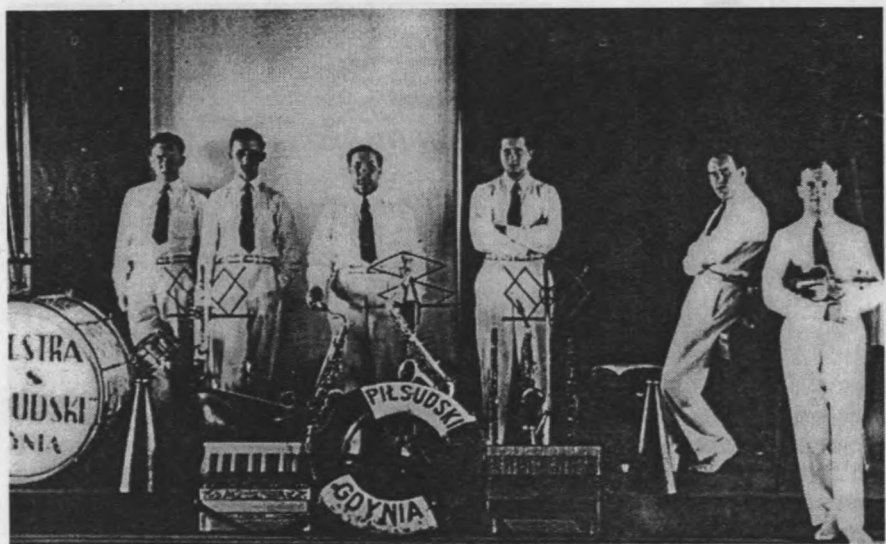
Pierwszy Licznik
Krzyża i Medalu Niepodległości
C. W. Jędrzejewicz

Wzrost: 183

Za zgodność z oryginałem

ZNAJDELMIE
Warszawę Gł. w Świdnicach

Pod koniec 1944 r. udostępnił podziemia kościoła żbikowskiego dla zbiorów bibliotecznych przywiezionych ze zrujnowanej po Powstaniu Warszawy.



Roman Zaremba w latach 1935-1938 podczas pracy na statkach m/s "Piłsudski" i m/s "Batory", gdzie był członkiem zespołu muzycznego.



czterema ścianami wieży, na wysokości około 60 m od ziemi (patrz szkic). We właściwym magazynie, przypominającym kształtem przedpokój - została zainstalowana instalacja elektryczna, którą każdorazowo łączyło się na chórze z właściwą siecią, za pomocą zwykłych przewodników zakończonych wtyczkami. To połączenie tak było pomyślane, że w wypadku na przykład niespodziewanej rewizji w kościele w czasie mego pobytu w magazynie - mogłem jednym szarpnięciem, nie wychodząc z magazynu, wyłączyć instalację i wciągnąć ją do wewnątrz, gdzie można było spokojnie siedzieć. Całkowite bezpieczeństwo zwiększał fakt, że dzięki właściwościom akustycznym każde słowo wypowiedziane na dole, czy też kroki na chodniku, były wyraźnie słyszane w magazynie. W odwrotnym natomiast kierunku nasze nawet głośne rozmowy i muzyka z zainstalowanego w magazynie 4-lampowego odbiornika już na sklepieniu, 8-10 m niżej, były zupełnie niesłyszalne - co zostało stwierdzone odpowiednimi próbami. Dzięki instalacji korzystaliśmy z audycji stacji zagranicznych, które podtrzymywały nas na duchu w chwilach zwątpienia i mogliśmy w miesiącach zimowych ogrzewać piecykiem zimowym nasz podniebny pokój.

Wejście do magazynu połączone było z trudnościami, do pokonania których trzeba było posiadać nielada talent akrobatyczny, a nadto zimną krew i mieć wycucie przestrzeni. Żeby dostać się do magazynu na wieży, trzeba było użyć jednej z dwóch drabin, długości 6 i 3 metrów. Jeżeli do magazynu wpadałem tylko na chwilę, wówczas korzystałem z drabiny dłuższej. Jeżeli chodziło o pozostanie w magazynie przez cały dzień, albo przez całą noc, wówczas używało się drabiny krótkiej, którą należało po sforsowaniu połowy wysokości wnęki, jeszcze raz po podciągnięciu dostawić, a następnie wciągnąć do środka magazynu. W podłodze magazynu zostało urządzone całkowicie zamaskowane wejście w rodzaju łuku z ukrytym zamkiem własnej konstrukcji. Wchodząc do magazynu należało uprzednio zatrzeć ślady stóp i inne. Trudność polegała na tym, że trzeba było wszystko to wykonać po ciemku. Dopiero znalazłszy się wewnątrz magazynu, po zamknięciu za sobą kłapy w podłodze, można było włączyć do stałej instalacji wciągnięte wraz z drabiną przewodniki. Od tej chwili pracowało się przy świetle.

Do wnoszenia broni używaliśmy liny od dzwonu. Transport odbywał się w ten sposób, że przygotowaną broń obwiązywało się liną i jeden z nas wciągał to do góry, po czym drugi, już po linie, dostawał się do magazynu.

Całe wnętrze magazynu, zarówno ściany, sufit jak i podłoga obite były woreczkami ze zrzutów i malowanym olejno płótnem zabrany z sali teatralnej w domu parafialnym. Pokój urządzony był z pewnym przepychem i aż lśnił od czystości. Cała broń poukładana była na półkach, karabiny

wisiały na hakach specjalnie na ten cel obstalowanych u Zygmunta Banaśńskiego, zamieszkałego przy ulicy 3 Maja w Żbikowie. Na honorowym miejscu wisiał na fladze narodowej, rozpiętej na głównej ścianie, Biały Orzeł, godło Polski; dalej radioodbiornik i stolik z przyborami do pisania. Przy drugiej ścianie mieścił się warsztat reperacyjny z imadłem i przyrządami. Całość robiła tak dodatnie wrażenie, że z prawdziwą przyjemnością przebywało się tutaj. Pracę umiał nam radioodbiornik, który do dnia dzisiejszego³⁾ jest w moim posiadaniu i chociaż obecnie odmawia posłuszeństwa, jednak stanowi dla mnie drogą pamiątkę.

Po skończonej w magazynie pracy, drabinę i inne przyrządy służące do wejścia, przenosiło się w jak najdalszy kąt od zamaskowanego wjazdu do naszego konspiracyjnego składu broni.

W magazynie pracowałem zarówno w dzień jak i w nocy, przy czym w nocy czułem się pewniej, ponieważ kościół był zamknięty i w razie niepożądanego wizyty z pewnością usłyszałbym kroki dość wcześnie, żeby zlikwidować jedyny drogowy skąd do magazynu, jakim był przewodnik elektryczny.

Jak już w wstępie zaznaczyłem, pomocnikiem moim był Kazimierz Jesiołowski, a po przyjęciu sprzętu 6 kompanii dodano mi jeszcze Franciszka Makowskiego - pseudonim "Chrobry" - zamieszkałego w Żbikowie w odległości 200 m od kościoła. W magazynie pracowaliśmy najczęściej we dwójkę, a bezpośrednio przed wybuchem powstania - we trójkę. Tym niemniej bardzo często pozostawałem w kościele sam jeden. Czyniłem to ze względu na całkowite bezpieczeństwo magazynu, a w dodatku moja obecność na tym terenie nie wzbudzała specjalnych podejrzeń, gdyż w latach 1914-1942 organistą we wspomnianym kościele był mój ojciec, a po jego śmierci, mój brat Tadeusz.

Podręczny magazyn "Przeładunkowy"

Vis à vis kościoła żbikowskiego położony jest majątek Żbików, stanowiący własność pułkownika doktora Zielińskiego, będący wówczas w dzierżawie Tadeusza Glazera, zamieszkałego potem w Otrębusach koło Podkowy Leśnej. Tadeusz Glazer noszący pseudonim "Żbik", oddał sprawie konspiracji niepoślednie usługi, gdyż na swoim terenie pozwolił urządzić podręczny magazyn i niejednokrotnie pomagał nam w pracy.

Poza tym we wspomnianym majątku przy pomocy dzierżawcy oraz ś.p.brata mego Stanisława poległego w powstaniu i Kazimierza Jesiołowskiego urządziłem "melinę" mieszczącą się na strychu usytuowanym nad budynkiem gospodarczym. Całe wnętrze strychu zostało niemal szczelnie wypełnione sianem, w którym wydrążyłem pomieszczenie mo-

3.Wspomnienia niniejsze Autor pisał w 1956 roku.



Hieronim Krygier "Walski" oficer uzbrojenia w VI Rejonie VII Obwodu "Obroża" Armii Krajowej.

gące dać schronienie 12 ludziom. Do skrytki prowadził tunel długości około 12 metrów tuż pod samym okapem, którego wylot po wejściu dokładnie zatykało się sianem. Wraz z poległym bratem mieszkaliśmy w tym "pokoju" około roku, a w czasie łapanek ukrywał się tam znacznie liczniejszy zastęp naszych żołnierzy.

Poza tym "melina" służyła ludziom warszawskiej grupy dywersyjnej "Radosław" oraz formacji dyspozycyjnej Komendy Głównej AK - "Broda 53" i Oddziału Specjalnego "Osjan", z którą i ja współpracowałem.

Po wykonanym zamachu na pociąg pod Błoniem nocowali w "melinie" z grupy "Osjana": "Witold", "Słoń", "Ślązak" i inni.

Tu muszę nadmienić, że bezpośrednio udziału w tej akcji nie brałem, ale z magazynu wydałem 3 steny, 2 mauzery 10-strzałowe, 2 wisy i około 600 szt. amunicji, którą sam przewiozłem do Warszawy, na ulicę Modrzewiową (Praga), gdzie mieściła się drukarnia "Demokraty", której byłem współpracownikiem i kolporterem.

Poza tym wydałem broń dla tejże grupy przygotowującej się do akcji w Powsinie wieś Latoszki, dostarczyłem także broń do wykonania zamachu na wracających z polowania dostojników niemieckich w Wawrze i do akcji na lotnisku w Młocinach. Udział mój w tych akcjach polegał na przewiezieniu broni na Pragę i z powrotem do Pruszkowa.

Obowiązki magazyniera i źródła napływu broni

Do obowiązków moich jako głównego magazyniera należało:

- przenoszenie broni do magazynu ze wskazanego terenu,
- zakup broni w terenie,
- konserwacja zmagazynowanej broni,
- wydawanie i przyjmowanie broni,
- prowadzenie książki magazynowej.

Broń ze zrzutów napływała do moich rąk za pośrednictwem firmy Strakacza, z rozlewni piwa mieszczącej się w Pruszkowie, przy ul. Kościelnej. Wymieniona firma, jak mi wiadomo, przewoziła broń do Pruszkowa własnym wagonem, a następnie furman firmy dowoził ją furmanką na miejsce przeze mnie wskazane - najczęściej do sklepu Marii Jansowej w Żbikowie. Większe paki były kierowane do majątku Żbików, skąd wędrowały do kościoła.

Następnym źródłem zdobywania broni były zakupy prywatne. Skupem broni trudnili się: "Składowy H"⁴⁾, "Administrator"⁵⁾ i ja. Chociaż byłem w ciągłym z nimi kontakcie, nazwisk ich, niestety nie znałem. Broń od wymienionych osób odbierałem osobiście. Od pierwszego z Piastowa, gdzie zamieszkiwał, a od drugiego z dzielnicy Tworki. Sam natomiast skupowałem broń w całej okolicy, gdzie się dało.



Kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny w Żbikowie: stan z lat dwudziestych.

Konserwacja broni jak: czyszczenie, natłuszczenie, naprawa - odbywały się w kościelnym magazynie, gdzie były wszelkie potrzebne przybory. Poważniejsze naprawy wykonywał Józef Zduński "Spawacz" 14/VI we własnym warsztacie mieszczącym się przy ul.Ks.Streicher 7 w Pruszkowie. Uszkodzone drzewca naprawiane były przez naszego człowieka, którego nazwiska nie pamiętam, mieszkał on w Pruszkowie przy ul.Ołówkowej róg Szczęsnej.

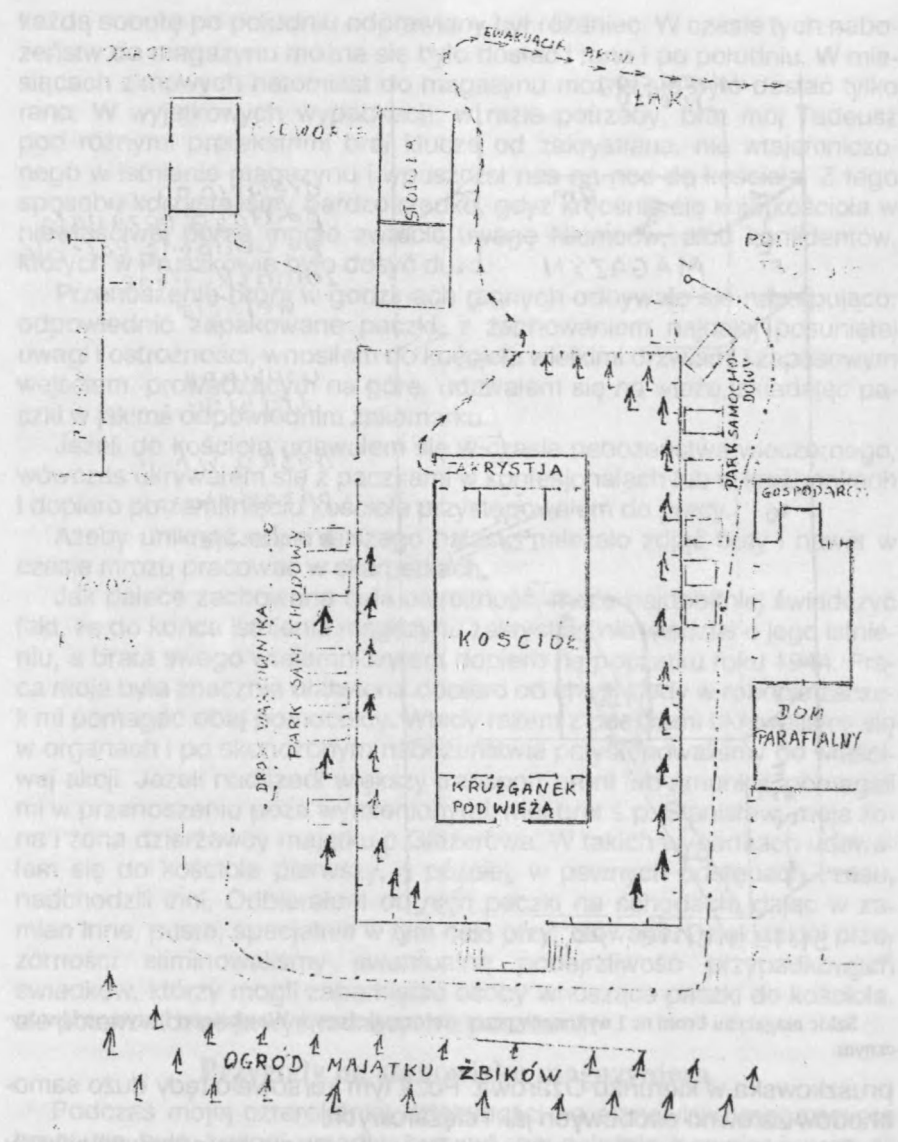
Broń wydawana była tylko na pisemne polecenie "Składowego H" lub dowódcy pułku. Wszelkie rozporządzenia i pokwitowania dotyczące tej procedury są w moim posiadaniu.

Technika przenoszenia broni z majątku Żbików

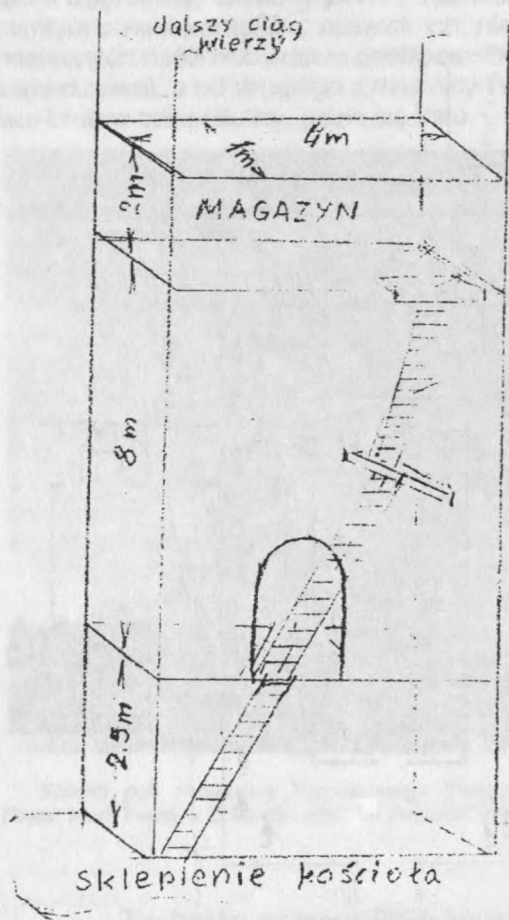
Kościół żbikowski położony jest przy nader ruchliwej arterii łączącej dwie wylotowe drogi z Warszawy: grójecką z poznańską. Dzięki takiemu położeniu przed kościołem panował dość znaczny ruch. Tędy przejeżdżała żandarmeria z Zaborowa na łapanki w Pruszkowie, a żandarmeria

4.Oficer broni Hieronim Krygier, pseudonim "Walski".

5.Sierżant Eugeniusz Skawiński, pseudonim "Ster", zastępca do spraw transportu i zakupu broni.



Szkic sytuacyjny magazynu broni przed powstaniem, wykonany przez Romana Zarembe, złożony w archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego.



drewniana
podłoga pozostała
po budowie kościoła
zamaskowane
wejście

usuwane
drabiny

deska w murze
pozostała po
budowie

Szkic magazynu broni nr 1 wykonany przez Autora, złożony w Wojskowym Instytucie Historycznym.

pruszkowska w kierunku Ożarowa. Poza tym kursowało wtedy dużo samochodów zarówno osobowych jak i ciężarowych.

Przenoszenie broni z majątku do kościoła mogło się odbywać tylko w czasie odprawiania nabożeństw. Sprzyjały temu szczególnie miesiące letnie, wówczas bowiem prócz nabożeństw porannych po południu odprawiane były w maju nabożeństwa majowe, a w czerwcu czerwcowe. W

każdą sobotę po południu odprawiany był różaniec. W czasie tych nabożeństw do magazynu można się było dostać i rano i po południu. W miesiącach zimowych natomiast do magazynu można się było dostać tylko rano. W wyjątkowych wypadkach, w razie potrzeby, brat mój Tadeusz pod różnymi pretekstami brał klucze od zakrystiana, nie wtajemniczonego w istnienie magazynu i wpuszczał nas na noc do kościoła. Z tego sposobu korzystaliśmy bardzo rzadko, gdyż kręcenie się koło kościoła w niewłaściwej porze mogło zwrócić uwagę Niemców, albo konfidentów, których w Pruszkowie było dosyć dużo.

Przenoszenie broni w godzinach rannych odbywało się następująco: odpowiednio zapakowane paczki, z zachowaniem najdalej posuniętej uwagi i ostrożności, wnosiłem do kościoła wielkimi drzwiami i zapasowym wejściem, prowadzącym na górę, udawałem się na wieżę, składając paczki w jakimś odpowiednim zakamarku.

Jeżeli do kościoła udawałem się w czasie nabożeństwa wieczornego, wówczas ukrywałem się z paczkami w konfesjonatach lub w krużgankach i dopiero po zamknięciu kościoła przystępowałem do pracy.

Ażeby uniknąć najmniejszego hałasu, należało zdjąć buty i nawet w czasie mrozu pracować w skarpetkach.

Jak dalece zachowana była ostrożność, może najdobitniej świadczyć fakt, że do końca istnienia magazynu zakrystian nie wiedział o jego istnieniu, a brata swego wtajemniczyłem dopiero na początku roku 1944. Praca moja była znacznie ułatwiona dopiero od chwili kiedy w robocie zaczęli mi pomagać obaj pomocnicy. Wtedy razem z paczkami ukrywaliśmy się w organach i po skończonym nabożeństwie przystępowaliśmy do właściwej akcji. Jeżeli nadszedł większy transport broni lub amunicji, pomagali mi w przenoszeniu poza wymienionymi: mój brat ś.p. Stanisław, moja żona i żona dzierżawcy majątku p.Glazerowa. W takich wypadkach udawałem się do kościoła pierwszy, a później, w pewnych odstępach czasu, nadchodzili inni. Odbierałem od nich paczki na schodach, dając w zamian inne, puste, specjalnie w tym celu przygotowane. Dzięki takiej przeczności eliminowaliśmy ewentualną podejrzliwość przypadkowych świadków, którzy mogli zapamiętać osoby wnoszące paczki do kościoła, ale potem widzieli je wychodzących z paczkami.

Przygody na stanowisku magazyniera

Podczas mojej czteroletniej działalności na stanowisku magazyniera broni nie było żadnej wpadki, "wsypy", co należało przypisać precyzji działania. Przed każdą trudniejszą akcją osobiście przeprowadzałem wywiad w terenie działania i dopiero po ustaleniu warunków, przystępowałem do pracy. Jak wszystkim mieszkańcom Pruszkowa wiadomo, w in-

nych kompaniach były "wpadki" i to poważne, gdyż skończyły się śmiercią kilku dzielnych ludzi. W pierwszym rzędzie opiszę wypadki związane z aresztowaniem braci Prętkiewiczów, mieszkańców Żbikowa, z których jeden, Stanisław, był magazynierem broni 6 kompanii.

Dnia 2 czerwca 1944 roku jak grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość o aresztowaniu braci Prętkiewiczów i Leona Ołędzkiego, u którego znaleziono karabin maszynowy, kilka tysięcy amunicji itp.

Magazyn broni 6 kompanii mieścił się w cegielni stanowiącej własność Prętkiewiczów, położonej o 500 m od kościoła. Wszyscy drżeliśmy z obawy, że Niemcy natrafią na ślad naszego składu broni, co byłoby równoznaczne z całkowitym zniszczeniem Żbikowa i jego mieszkańców. Pomimo skrupulatnych poszukiwań, broni w cegielni w tym dniu nie znaleźli. Tu trzeba stwierdzić, że aresztowani bracia Prętkiewiczze wykazali prawdziwie wielkie cnoty żołnierskie, gdyż żaden z nich, pomimo stosowania znanych w takich wypadkach metod prowadzenia śledztwa, nie załamali się i miejsca nie wskazali.

Dnia 15 czerwca 1944 roku otrzymałem ustny rozkaz dowódcy pułku "Pawła" o konieczności zabrania broni z cegielni i przeniesienia jej do mego magazynu. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego wszystkim mieszkańcom Żbikowa, bez zwłoki przystąpiłem do akcji przenoszenia, a ściślej mówiąc do wykradania tej broni. W tym celu za pośrednictwem Franciszka Makowskiego nawiązałem kontakt z Prętkiewiczem pozostającym na wolności, który znał dokładnie miejsce zmagazynowania sprzętu. Po przeprowadzeniu wywiadu w terenie ustaliłem plan działania.

Wiedząc o tym, że Niemcy byli święcie przekonani, że żaden Polak nie śmie wyjść z domu po godzinie policyjnej ze względu na rygorystyczne rozporządzenia, przewidujące nawet zastrzelenie spóźnionego przechodnia, ustaliłem początek akcji na godz. 19.30. Ściśle o oznaczonej porze udaliśmy się w trójkę na teren cegielni i przystąpiliśmy do wydobywania sprzętu przechowywanego pod olbrzymim kominem. Pracę tę wykonywaliśmy w zupełnych ciemnościach.

Następnie sprzęt został przeniesiony na pobliskie łąki. Ze względu na konieczność zachowania w tajemnicy przed Prętkiewiczem nowego miejsca "zamelinowania" broni, zaraz po wydaniu jej z cegielni zwolniłem go, informując mylnie, że odebrana broń ukryjemy w jednej z pieczar na cmentarzu, odległym zarówno od kościoła jak i od cegielni o kilometr drogi. Wyczułem, że Prętkiewicz zadowolony był z mojej decyzji, gdyż bez sprzeciwu pozostawił nas samych, tym bardziej, że najniebezpieczniejsza część akcji, jaką było przeniesienie broni na teren majątku Żbików miała dopiero nastąpić. Trudność polegała na tym, że do majątku należało

przechodzić przez szosę, prowadzącą w kierunku Ożarowa, gdzie można się było natknąć na jakiś patrol, co było tym bardziej prawdopodobne, że na końcu wsi kwaterowały oddziały artylerii przeciwlotniczej.

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, we dwójkę z Makowskim przystąpiliśmy do przenoszenia broni na teren majątku Żbików. Ogółem zrobiliśmy po sześć kursów każdy, co zajęło nam czas do godz. 23.

Następnego dnia Makowski doniósł mi, że pozostała jeszcze część broni 6 kompanii zakopana jest w drewnianej skrzyni na głębokości około 1/2 m w majątku tegoż Prętkiewicza, w bezpośrednim sąsiedztwie ożywionej szosy ożarowskiej i kwaterujących w pobliskich domach taborzystów armii niemieckiej. W dodatku oświadczył, że miejsce to zna tylko z opisu. Wieczorem o godz. 22, uzbrojeni w wisy i szpadle, udaliśmy się na wspomniany teren i w określonym miejscu zaczęliśmy kopać rowy o szerokości szpadla i półmetrowej głębokości. Przy tej robocie musieliśmy co chwilę padać plackiem na ziemię, gdyż przejeżdżające samochody łapały nas w strumienie światła swoich reflektorów. Po dwóch godzinach, pomimo wykopania kilku rowów we wszystkich kierunkach, na ślad skrzyni nie natrafiliśmy. Po zasypaniu rowów zgnębieni, zziębnięci wróciliśmy do "meliny" na nocleg.

Następnego ranka Makowski udał się do informatora z 6 kompanii, zdaje mi się, że wspomniał pseudonim "Wulkan" albo "Małpa", już nie pamiętam, który stanowczo zapewniał, że broń musi być we wskazanym miejscu, gdyż własnoręcznie ją zakopał. Na propozycję udania się w teren w godzinach nocnych, odpowiedział odmownie, tłumacząc się że daleko mieszka. Po zapadnięciu ciemności ponownie udaliśmy się na poszukiwania, również tym razem zakończone niepowodzeniem. Trudno mi było zrezygnować z tej akcji pomimo zniechęcenia się Makowskiego, gdyż w pace miał się znajdować RKM i 5 karabinów. Następnego dnia udałem się do "Spawacza" Józefa Zduńskiego, który sporządził mi pręt stalowy o długości 75 cm, ostro zakończony. Z tym przyrządem niby z różdżką czarodziejską ponownie udałem się w teren, biorąc jeszcze do pomocy Kazika Jesiołowskiego. Po przeszło godzinnym nakłuwaniu ziemi, ostrze pręta oparło się o coś twardego. Z radością przystąpiliśmy do kopania. Po chwili ukazała się nam słoma a pod nią upragniona skrzynia. Wykopanie najcenniejszego skarbu nie dałoby nam tak wielkiego zadowolenia, jak tych kilka karabinów. Po wyjęciu broni i załadowaniu w przygotowane worki, przystąpiliśmy do zasypywania dołu. Po zakończeniu pracy i chwilowym odpoczynku, zachowując środki ostrożności, przenieśliśmy broń na teren majątku Żbików, przy czym wykonaliśmy około 20 padnij i powstań, gdyż szosę musieliśmy forsować w dwóch miejscach.

Wnoszenie sprzętu 6 kompanii do kościoła

Przejętą po Prętkiewiczach broń należało jak najszybciej przenieść do kościoła. W akcji tej pomagali mi; brat mój ś.p. Stanisław i Jesiołowski. Ponieważ sprzętu tego było dość dużo, ja sam zostałem na noc w kościele, a moi pomocnicy o godz. 23.30 mieli mi podać cały sprzęt przez okno doprowadzające światło do schodów prowadzących na wieżę. W tym celu Jesiołowski przygotowanym kijem, którego koniec owinięty był gałganem dla stłumienia odgłosu uderzenia, w czasie sobotniego różańca, podczas największego nasilenia pieśni "Święty Boże", wybił szybę we wskazanym oknie.

Po sprawdzeniu od wewnątrz, że ta część planu została wykonana, powymowałem resztę szyby, a w okno wstawiłem w tym celu przygotowany i przkrojony do odpowiedniego wymiaru kawałek szkła, ażeby brak szyby nie zwrócił uwagi nie wtajemniczonych. Potem udałem się na górę i przy pomocy długiej drabiny dostałem się do magazynu, wypełniając wolny czas do 23.30 przygotowaniem półek i wieszaków na nową broń. Przed umówioną godziną opuściłem magazyn, przy czym dla ułatwienia sobie oczekującej mnie pracy, pozostawiłem luk otwarty i drabinę, wyłączając tylko światło. Po zajęciu stanowiska przy oknie i odsunięciu szyby już po chwili usłyszałem skradające się kroki. Był to mój brat, który po chwili podał mi 4 paczki z amunicją po 150 sztuk w każdej. Po pewnym czasie nadszedł Jesiołowski z karabinami. W ten sposób został przeniesiony sprzęt 6 kompanii wydobyty z cegielni. Zadanie moich pomocników zostało ukończony, reszta należała do mnie. Pracę, która mnie oczekiwała podzieliłem sobie na trzy etapy:

- przeniesienie odebranego sprzętu spod okna na sklepienie tuż przy końcu schodów;
- przeniesienie sprzętu na mur, na którym stała drabina prowadząca do magazynu;
- wniesienie sprzętu po drabinie.

Zaraz przystąpiłem do pracy w myśl powziętego planu. Pierwszy i drugi etap, chociaż bardzo męczące, bo wykonywane w zupełnych ciemnościach, poszły dość sprawnie. Na początku trzeciego, ostatniego etapu, zaraz przy pierwszym forsowaniu drabiny z wiązką karabinów pod pachą stało się coś, co zmroziło mi krew w żyłach tak, że omal nie zleciałem z drabiny razem z niesionymi karabinami w pięciometrową przepaść, co w najlepszym wypadku mogło się skończyć kalectwem. Usłyszałem w magazynie wyraźne, ludzkie oddechy, cmokanie jak przy jedzeniu i jak gdyby przytłumione kroki. Przerażony do ostatnich granic, zatrzymałem się jak



Broń używana w konspiracji - 1/ p.m. "Sten" prod. angielskiej, 2/ p.m. "Błyskawica" prod. polskiej, 3/ p.m. "Bergman" prod. niemieckiej, 4/ p.m. "Thompson" prod. angielskiej, 5/ pistolet VIS (polski), 6/ pistolet "Walther P 38" - niemiecki, 7/ rewolwer "Lebel", 8/ pistolet "Colt-Browning" 1911 - amerykański, 9/ pistolet "Parabellum" 08 - niemiecki, 10/ pistolet "Walther" PPK - niemiecki.

wryty, nie mogąc dociec przyczyn słyszanych odgłosów. Przez głowę jak błyskawice przelatywały mi tysiące myśli. Pierwszą była myśl, że magazyn został zdemaskowany i wewnątrz siedzi gestapowiec. Następna, że brat mój lub Jesiołowski dostał się oknem do magazynu, co było mało prawdopodobne, ze względu na znaczną wysokość. W końcu, że Makowski wcześniej dostał się do kościoła i w czasie mojej nieobecności wlaźł do magazynu, ażeby mnie nastraszyć. Ponieważ w żadnym wypadku nie mogłem pozostawić broni własnemu losowi, a samemu wyskoczyć wybitym oknem i dać drapak - zebrałem resztę odwagi, pozostawiłem karabiny na murze i uzbroiwszy się w parabelum, zacząłem bez przekonania wspinać się po drabinie. Przez cały ten krótki czas, który wydawał mi się wiekiem, oddechy, sapanie, łażenie - ani na chwilę nie ustawały, a raczej odnosiłem wrażenie, prawdopodobnie pod wpływem strachu, że są one coraz wyraźniejsze. Jest rzeczą dowiedzioną, że człowiek przed nieznanym niebezpieczeństwem odczuwa większy lęk, niż wobec jakiegoś konkretnego i bezpośredniego zagrożenia. Pomyślawszy w końcu, że mogą to być duchy, co ze względu na godzinę (była północ), jak również miejsce, było wielce prawdopodobne - trzymając gotowy do strzału pistolet, wysunąłem ostrożnie głowę przez otwór i z przerażeniem ujrzałem w ciemności dwie smugi hipnotyzującego wzroku, dokładnie skierowane w moje źrenice. Po

chwili dopiero zorientowałem się, że nie był to wzrok żandarma, ani ducha tylko sowy, która korzystając z mojej nieobecności, otwartym lukiem wleciała do środka i najspokojniej raczyła się moją kolacją, w postaci czterech bułek z salcesonem. W chwili kiedy pojąłem swoją omyłkę, musiałem spojrzeć na sowę władczy wzrokiem, gdyż pod jego wpływem, fosforyzujący wzrok sowy wyraźnie przygasł. W całym moim systemie nerwowym nastąpiła raptownie reakcja i poczułem pragnienie wywarcia zemsty za przeżyte chwile trwogi. Strzelać do sowy w żadnym wypadku nie mogłem, więc postanowiłem uśmiercić ją w inny sposób. Szybko wpełzłem do magazynu i zamykając kłapę włączyłem światło. Wtedy dopiero sowa oderwała się od jedzenia i jak oszalała zaczęła obijać się o ściany i porozwieszaną broń, oślepiona światłem dwóch żarówek o łącznej mocy 120 wat. Wziąwszy do ręki karabin zadałem jej cios, który okazał się śmiertelny. Tak się skończyła ta przygoda, dzięki której cały byłem zlany potem. Sowa, wypchana przez pana Rejmana ze wsi Żbików, była długi czas postrachem moich synów, a mnie przypominała o niesamowitej przygodzie. Po zlikwidowaniu sowy szybko i bez przeszkód pownosiłem przygotowaną broń 6 kompanii.

Do przeniesienia do składu na wieży z majątku Żbików pozostały jeszcze: jeden RKM i pięć karabinów niemieckich.

Broń 6 kompanii musiała być dla mnie najwidoczniej pechowa, gdyż przy wnoszeniu tej reszty razem z Jesiołowskim i Makowskim spotkała nas przygoda, która mogła się skończyć bardzo tragicznie, ale tylko dzięki bezgranicznej naiwności Niemców - skończyła się na strachu.

Ponieważ po uprzedniej nocy pełnej wrażeń czułem się zmęczony, więc nie miałem ochoty spędzać także następnej nocy w magazynie. Żaden z moich pomocników nie przejawiał chęci samotnego spędzenia nocy w kościele, jedynie w obawie przed duchami, gdyż w obliczu innych, realnych niebezpieczeństw byli bardzo odważni, pracując z poświęceniem i zapałem. Wobec nieprzejednanego ich stanowiska, postanowiłem wnieść broń do kościoła w niedzielę, w czasie odprawianych niesporów. W tym celu sporządziłem 3 paczki po dwa karabiny w każdej, opakowane w malowane płótno i solidnie związane sznurkami, co mogło robić wrażenie że są to wędki wracającego z połowu ryb.

Jak już nadmieniałem, broń znajdowała się w podręcznym magazynie w majątku Żbików. W pierwszym rzędzie należało przenieść paczki przez ruchliwą ulicę o 100 m poniżej kościoła i przetrzymać do ogrodu księdza proboszcza Dyżewskiego. Akcję ułatwiały drzewa i krzewy rosnące zarówno w ogrodzie okalającym majątek, jak i w ogrodzie plebanii. W tym celu do ogrodu proboszcza wysłałem Makowskiego, ażeby odbierał paczki, a Jesiołowskiego pozostawiłem na ulicy, ażeby dawał mi znaki, kiedy na jezd-

ni nie będzie żywej duszy. Należało bowiem kryć się zarówno przed Niemcami jak i swoimi. Na dany znak przebiegałem z paczką ulicę i podawałem ją przez parkan Makowskiemu. Czynność powtarzana była trzy razy, co zajęło nam 40 minut, ponieważ za każdym razem trzeba było uchwycić stosowną chwilę, na którą trzeba było czekać. Po tym Makowski wziął wszystkie trzy paczki i swobodniej już, ukrywając się za żywopłotem, przeniósł w drugi koniec ogrodu, graniczący niemal bezpośrednio z ogrodzeniem kościoła. W tym czasie ja z Jesiołowskim udałem się na wywiad, ażeby ustalić, co się dzieje przed głównym wejściem do kościoła i w krużganku, który był terenem następnej czynności. Po stwierdzeniu, że zarówno przed kościołem jak i w krużganku nie ma nic podejrzanego, poza dwoma modlącymi się żebrakami, udaliśmy się do Makowskiego po odbiór paczek. Wydałem dalsze instrukcje o czynnościach w kościele. Postanowiłem mianowicie, że pierwszy udam się do świątyni i po chwilowej modlitwie wejdę zapasowymi drzwiami na górę; w odstępach 5 minutowych mieli nadejść Jesiołowski i jako ostatni Makowski. W międzyczasie miałem dostawić długą drabinę do magazynu. Pomocnicy mieli wycofać się zaraz po wniesieniu paczek na górę, a ja dopiero po schowaniu karabinów i zatarciu śladów.

Po ustaleniu tych wszystkich szczegółów udałem się na cmentarz okalający kościół, gdzie Makowski podał mi moją paczkę przez parkan. Nie czekając, śmiało wchodzę do kościoła przez wielkie drzwi i zastaję następujący stan rzeczy:

W kruchcie, tuż przy drzwiach, stoi około 10 żołnierzy, którzy wiedzeni ciekawością weszli do kościoła. Może wśród nich byli i Polacy - tego nie wiem. Faktem jest, że na ich widok chwilowo zbaraniałem. Nie tracąc jednak rezonu, śmiało ich minąłem i trzymając swoją paczkę o długości przeszło metrowej, udałem podróżnego spragnionego modlitwy. Ukłękłem więc, czekając na przyście Jesiołowskiego. W tych warunkach nie mogło być mowy o wejściu na schody, gdyż mogło to spowodować nieobliczalne następstwa, jak również nie można było ryzykować dłuższego pozostania w kościele, bo i to mogło wzbudzić podejrzenie Niemców. Jednocześnie nie byłem pewny, jak zachowa się wobec niespodzianki w postaci Niemców Jesiołowski. Moją w tym względzie niepewność przerwał skrzyp otwieranych drzwi i odgłos zbliżających się kroków. W żadnym wypadku nie mogłem się obejrzeć, lecz intuicyjnie wyczułem, że nadszedł Jesiołowski. Odczekałem jeszcze chwilę, po czym bijąc się w piersi, wstałem z miejsca i głośnym chrząknięciem dałem znak Jesiołowskiemu, że wychodzę z kościoła. Umaczałem palce w wodzie święconej, uczyniłem znak krzyża świętego, co było jednocześnie podziękowaniem i prośbą do Stwórcy o szczęśliwe wybrnięcie z sytuacji. Wyszedłem z kościoła w przekonaniu, że Jesiołowski, doszedłszy do tych samych co ja wniosków, rów-

niez kościół opuści. Nie oglądając się za siebie, spieszonym krokiem udałem się do ogrodu proboszcza od strony plebanii, by uprzedzić Makowskiego o zaistniałych w naszym programie przeszkodach.

Tymczasem również przed kościołem na ulicy powstała sytuacja uniemożliwiająca Makowskiemu wykonanie zadania, co z innych względów było prawdziwym znakiem Opatrzności. Szosą w stronę Ożarowa ciągnęła olbrzymia kolumna taborowa wojsk węgierskich. Wróciłem do Jesiołowskiego, który jak przewidywałem opuścił kościół, a widząc że cała ulica zajęta jest przez wojsko, dostał się do ogrodu proboszcza od strony łąki. Tu po zamaskowaniu paczek, podzieliliśmy się wrażeniami, po czym wyszliśmy na ulicę, ażeby popatrzeć na przejeżdżających Węgrów. O wniesieniu broni w tym dniu nie mogło już być mowy, gdyż nabożeństwo dobiegło końca, a przemarsz kolumny trwał około trzech godzin. Nie chcąc odnosić paczek do podręcznego magazynu, po przemarszu ukryliśmy je w zagłębieniach pod fasadą kościoła, tuż przy wielkich drzwiach. Następnego rana, zaraz po otwarciu świątyni, myśląc czujność kościelnego, wniosłem wszystkie trzy paczki do magazynu.

Przeniesienie broni z terenu szpitala Tworki.

Zdając sobie sprawę, że nawet drobne fakty mogą być pomocne przy odtwarzaniu historii walk konspiracyjnych, opisuję następnie wypadki związane z przeniesieniem broni z terenu szpitala Tworki, prawdziwej twierdzy niemczyzny. Broń ta była własnością 5 kompanii.

Na terenie dzielnic Tworki i Zacisze 5 kompania miała swój pluton noszący nr organizacyjny 1731. Do plutonu tego należeli ludzie w przeważającej większości zatrudnieni na terenie szpitala Tworki, służącego wyłącz- nie Niemcom. Dowódcą tego plutonu był plutonowy rezerwy "Hardy".

"Hardy" pracował w szpitalu w charakterze robotnika, gdzie udało mu się nawiązać kontakt z jakimś żołnierzem armii niemieckiej, obcej nacji, za pośrednictwem którego kupował broń, przechowując ją na terenie szpitala, ponieważ wyniesienie jej poza obręb szpitala natrafiało na trudności niemal nie do pokonania. Z drugiej strony fakt posiadania broni na terenie szpitala miał swoje dobre strony, ponieważ zadaniem bojowym mojej kompanii w razie wybuchu powstania, był właśnie szpital tworkowski. W pierwszych dniach listopada 1943 roku Niemcy wpadli na ślad zawieranych transakcji, rozstrzeliwując w pierwszym rzędzie żołnierza pośrednika. Na terenie dzielnic Tworki i Zacisze zaczęły się łapanki i rewizje w domach w poszukiwaniu broni. Szereg ludzi zostało aresztowanych. "Hardemu" niemal cudem udało się uniknąć aresztowania. Przez kilka dni ukrywał się w mojej melinie na terenie Żbikowa, a następnie został przez dowództwo skierowany do leśniczówki w Sękocinie. Osobiście wręczyłem

mu pewną kwotę pieniężną, przyznaną przez "góre" i polami przeprowadziłem go do miejscowości Michałowice, skąd na horyzoncie widoczny był już las sękociński.

Ostrożność ta była jak najbardziej wskazana, ponieważ Niemcy wyznaczili za wiadomość o miejscu pobytu "Hardego" znaczną nagrodę pieniężną, co ogłosili na terenie szpitala.

W tym czasie otrzymałem rozkaz rozpracowania sposobu wyniesienia broni ze szpitala, przy czym polecono mi nawiązać kontakt z braćmi Lewandowskimi, zamieszkałymi we własnym domku przy ul. Mariańskiej 11 - biegnącej w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala. Jeden z braci - pseudonim "Feliks" - był zastępcą dowódcy 2 plutonu, drugi - pseudonim "Gwóźdź", pełnił funkcję dowódcy drużyny w tymże plutonie; obaj byli zatrudnieni w szpitalu.

Dnia 7 listopada 1943 roku, zaopatrzony w umówione hasło, udałem się pod wskazany adres. Po dłuższej konferencji z "Feliksem" ustaliliśmy szczegóły wyniesienia broni i podział ról. Trudność zabrania broni wynikała z dwóch powodów. Pierwszą z nich była wzmożona czujność Niemców po ostatnich zajściach. Wydano dla pracowników specjalne zarządzenia. Drugi powód, to fakt, że "Feliks" pracował na nocną zmianę i do wykonania zadania mieliśmy tylko godzinę czasu: od 19 do 20. Pomimo tych trudności postanowiliśmy wykonać otrzymany rozkaz. Towarzysz broni "Feliks" z bratem swoim "Gwoździem" i jeszcze jakimś pracownikiem, którego nazwiska ani pseudonimu nie pamiętam, podjęli się zabrać broń z miejsca przechowywania i podać ją przez parkan grupie czekającej poza terenem szpitala od strony Malich, w miejscu starannie wybranym podczas przechadzki z "Feliksem". O wejściu na teren szpitala osób obcych nawet nie myśleliśmy ze względu na stosowanie ścisłej kontroli.

W tych warunkach na moich barkach pozostała druga część zadania, to jest przejęcie i przewiezienie broni na teren Żbikowa. Do pomocy i do ochrony zaangażowałem Jesiołowskiego i Kazimierza Łukasika.

W godzinach rannych dnia 8 listopada, udałem się jeszcze raz na teren i zbadałem go dokładnie, po czym przedstawiłem dokładnie Jesiołowskiemu i Łukasikowi ich zadania. O godz. 19 tegoż dnia wszyscy trzej, odpowiednio uzbrojeni, przybyliśmy rowerami na umówione miejsce i niezwłocznie pozostawiliśmy rowery w pewnej odległości od drogi, za ścianą jakiegoś domu, każdy bez pytania zajął swoje stanowisko. Robocie naszej sprzyjał fakt, że o tej porze było zupełnie ciemno. Po pewnym czasie, koło mego stanowiska zauważyłem jakiegoś osobnika, który swoim zachowaniem wzbudził moje podejrzenie, że śledzi on nasze poczynania. W tych warunkach nie mogłem stać na jednym miejscu, a tym bardziej prowadzić dalej akcji. Po porozumieniu się z zajmującym nieopodal stanowi-

sko Łukasikiem, postanowiliśmy gościa przede wszystkim "rozszyfrować". W pewnej chwili, mijając się z nim, błyskawicznym ruchem przystawiłem mu "Wisa" do skroni i szeptem rozkazałem podnieść ręce do góry, co bez najmniejszej zwłoki uczynił. Zrewidowałem go i znalazłem za pasem od spodni pistolet. Zapytałem co tu robi i na kogo czeka. Odpowiedział, że z wiedzą "Administradora" i "Feliksa" zajmuje stanowisko jako ochrona przy przejściu broni. Po tym wyjaśnieniu, które nie budziło zastrzeżeń, oddałem mu pistolet, polecając jednak dla pewności zająć stanowisko z Łukasikiem. Temu ostatniemu szepnąłem na ucho, że w razie ucieczki albo czegoś podejrzanego ma walić "w czapę". Nazwiska i pseudonimu tego człowieka nie pamiętam. Wkrótce po ponownym zajęciu stanowiska, na murze ukazała się jakaś postać i bez słowa, zeskakując na naszą stronę, podała mi cztery karabiny.

Po chwili już byłem zajęty pakowaniem broni do worka, który następnie przytroczyłem do swego roweru w ten sposób, że wyloty luf leżały swobodnie na kierownicy, a kolby przywiązane były do ramy przy siodełku. Czynności te wykonywałem z pośpiechem, ponieważ dochodziła 20, godzina policyjna. Osobnik, który podał mi broń, wręczył mi jeszcze pistolet kalibru 765 i trochę amunicji do karabinów. Po ściągnięciu czujek udaliśmy się w drogę powrotną, przy czym ze względu na zbliżającą się godzinę policyjną, poleciłem jechać trasą najkrótszą: szosą tworkowską, 6 Sierpnia do 3 Maja i już prosto do domu. Na przodzie jechali Jesiołowski z Łukasikiem, ja w odległości 30 metrów. Minęliśmy przejazd kolejowy, odcinek ulicy 3 Maja, przy której mieściły się Warsztaty Kolejowe zajęte przez Niemców. Poleciłem wówczas kolegom udać się do domów. Po drodze mijaliśmy wielu wojskowych, ale nikt się nami nie zainteresował. Jazda na moim rowerze była bardzo uciążliwa, a przez wieziony bagaż wyglądem swoim przypominałem raczej ułana niż cyklistę. Do Żbikowa dotarłem o godz. 20.30.

Co się działo na terenie szpitala w czasie tej roboty, nigdy się nie dowiem, ponieważ zaraz po przekazaniu broni bracia Lewandowscy, "Feliks" i "Gwóźdź" zostali aresztowani w dniu 13 listopada 1943 roku, a dnia 31 grudnia tegoż roku rozstrzelani, powiększając szeregi bohaterów poległych w walce o wolność. Jak mi wiadomo, żona "Feliksa" nadal mieszka w Pruszkowie przy ul. Mariańskiej.

W roku 1944 został zamordowany Kazimierz Łukasik, wykonawca kilku akcji sabotażowych i likwidator konfidentów.

Likwidacja Magazynu Depozytowego nr 2

Jednocześnie z założeniem Magazynu Depozytowego nr 1, został utworzony na terenie wsi Koszajec w majątku Leonarda Więcka, magazyn

broni nr 2. Wieś Koszajec była słynna z tego, że gospodarzami w przeważającej większości byli tu koloniści niemieccy, którzy zaraz po wkroczeniu Niemców na te tereny odkryli swoje prawdziwe oblicze i stali się najgorliwszymi zwolennikami Hitlera pomimo, że osiedleni byli na tym terenie od wieków.

Leonard Więcek otrzymał sprzęt z Piastowa, jak również jeszcze w większych ilościach z mojego punktu przeładunkowego w majątku Żbików. Ze względu na to, że dysponowanie sprzętem znajdującym się w majątku Koszajec było niemal całkowicie sparaliżowane wyżej podanymi okolicznościami, zaistniała konieczność zlikwidowania tego punktu i przeniesienia broni do mego magazynu. We wrześniu 1943 roku zaopatrzone w odpowiednie pismo "Składowego H", udałem się do Koszajca, odległego od Żbikowa około 4 km, gdzie wspólnie z Więckiem ustaliłem, że bez specjalnego pośpiechu, w chwilach wolnych od zajęć, przystąpię do stopniowego likwidowania magazynu depozytowego nr 2. Kolega Więcek zadowolony był z takiego obrotu sprawy, gdyż broń była przechowywana w złych warunkach, a niebezpieczne sąsiedztwo uniemożliwiało całkowicie należytą konserwację. Choć broni było tam niewiele, przenoszenie jej trwało przez cały rok. Dla całkowitego zlikwidowania magazynu zrobiono ogółem 9 kursów - przy czym ja sam byłem w Koszajcu 8 razy, a kolega Jesiołowski jeden raz. Jak już zaznaczyłem, pośpiech nie był ani możliwy ani wskazany. Po prostu sprzęt był przenoszony w razie rzeczywistej potrzeby.

Dnia 15 kwietnia 1944 roku, korzystając z ładnej pogody, udałem się do Koszajca po odbiór dwóch karabinów, przydzielonych 5 kompanii. Karabiny opakowałem w krzewy malin, owijając w trzech miejscach słomą, co robiło wrażenie, że niosę krzewy do zasadzenia. Z powrotem wracałem wzdłuż toru kolejowego, łączącego Pruszków z cukrownią Józefów, położoną za Koszajcem. Droga ta prowadziła koło mego mieszkania w Pruszkowie przy ulicy Ks. Streicha (obecnie Waryńskiego). Ponieważ po tym spacerku poczułem się głodny, wstąpiłem więc do domu na skromny posiłek, zostawiając ze względu na dzieci wiązkę malin u Kadzikiewiczów, rodziców żony, zamieszkałych w tym samym domu pod nr 7 m.4. Posiliłem się i ruszyłem w dalszą drogę. Koło fabryki pilnikowej na ul. 3 Maja natknąłem się na dwóch żandarmów, którzy zatrzymali mnie i zażądali ausweisu. Oparłwszy paczkę krzewów o parkan fabryczny, okazałem im swoje "lipne" dokumenty, przy czym łydki mi z lekka drżały, gdyż wyjątkowo nic nie miałem za pasem. Po chwili puścili mnie swobodnie. Najzabawniejsze w tym zdarzeniu było to, że z moich krzewów wyraźnie wyglądała rączka od zamka jednego z karabinów, czego na szczęście szwabi nie zauważyli. Idąc dalej w stronę kościoła, już na terenie wsi Żbików,

spotkałem ks.kanownika Dyżewskiego i ks.prefekta Kamińskiego. Po powitaniu ks.kanownik zwrócił się do mnie ze słowami: "Te maliny to pewno dla mnie". Jeszcze nie zdążyłem odpowiedzieć, a ks.kanownik już spostrzegł wyglądający z krzewów prawdziwy "owoc". Oto jeszcze jeden dowód, że Niemcy bez pomocy konfidentów, nigdy by nic nie wykryli.

W lipcu 1944 roku magazyn depozytowy nr 2 przestał istnieć, przy czym część broni została w moim magazynie, a reszta została rozproszona w myśl instrukcji "Składowego H".

Sposoby podejmowania broni.

Celem zamaskowania transportu broni, odbiorcy używali przeróżnych sposobów, mniej lub więcej pomysłowych. Niektóre z nich mogłyby zaskoczyć nawet naszych prześladowców.

Jeden z takich wypadków opisuję. Prawdziwość danych nie może być kwestionowana, gdyż w moim posiadaniu są dowody, a poza tym żyją świadkowie, na relacjach których powołuję się w tym opowiadaniu, nie pytając ich o pozwolenie.

Działo się to dokładnie w dniu 15 maja 1944 roku, chociaż pierwsza rozmowa w tej sprawie odbyła się znacznie wcześniej, mianowicie w dniu 9 maja, kiedy zjawił się w majątku Żbików "Składowy H" i oświadczył mi, że dla "Tomka" z Warszawy mam na następny dzień przygotować dobrze opakowanych 2.000 sztuk amunicji do "Thomsona" kaliber 11 mm. Kim był zacz nie wiedziałem i nie starałem się dociec. Następnie "Składowy H" wręczył mi hasło napisane maszynowo na małym skrawku papieru i wyjaśnił, że "z identyczną kartką zgłoszą się po odbiór wysłannicy "Tomka"". Jako miejsce wydania broni wskazałem sklep pani Marii Jansowej w pobliżu kościoła, przy czym rozumiejąc, że w czasie podróży wysłanników zajść mogą nieprzewidziane komplikacje, nie ustaliłem ścisłej godziny, pozostawiając do ich dyspozycji cały dzień. Po omówieniu wszystkich szczegółów, udałem się zaraz na teren kościoła i korzystając z majowego nabożeństwa, przygotowałem żadaną amunicję. Ze względu na ciężar, musiałem trzy razy wracać na sklepienie kościoła. Wszystkie sześć paczek pozostawiłem na noc u Makowskiego. Następnego dnia od samego rana oczekiwałem ludzi "Tomka", lecz na próżno. Coś musiało się zmienić w planach, gdyż do 15 maja amunicja nie była podjęta.

Nagabywany przeze mnie "Składowy H" nie umiał mi tego stanu rzeczy wyjaśnić i dodał, że dwukrotnie pisał w tej sprawie "grypsy" do "Gospodarza" (dowódca pułku "Paweł"). Trzymanie w miejscu niedostatecznie zabezpieczonym takiej ilości amunicji i to w dodatku pochodzącej ze zrzutów, opakowanej w pudełka firmowe z napisami "Western" i "Winchester", mogło się źle skończyć. Ukryliśmy więc wszystkie sześć paczek w sianie

na strychu budynku gospodarczego u tegoż Makowskiego, przy czym temu ostatniemu pozostawiłem kartkę z hasłem, polecając wydać paczki odbiorcom, którzy okażą identyczną kartkę. Następnie prosiłem panią Marię Jansową, by w wypadku zgłoszenia się wysłanników "Tomka", skierowała ich do Makowskiego. Ja sam nie mogłem tracić tylu dni, gdyż zajęty byłem przygotowaniem butelek zapalających i granatów szedytowych, wykonanych przez Józefa Zduńskiego.

Po długich oczekiwaniach wysłannicy "Tomka" zjawili się w Pruszkowie w dniu 15 maja 1944 roku. Data ta została mi w przeddzień zakomunikowana przez "Składowego H". Wiadomość tę przekazałem p.Jansowej i Makowskiemu. Sam musiałem udać się do swego mieszkania, ponieważ miałem wykonać jakieś terminowe wykazy jako szef kompanii. Następnego ranka, po wyekspediowaniu korespondencji, miałem się stawić w sklepie p.Jansowej. Z przyrzeczenia, niestety, nie mogłem się wywiązać, gdyż w następnym dniu tzn. 15 maja już o świcie cały Pruszków został obstawiony kordonami wojska, a wewnątrz urzędowała żandarmeria z Zaborowa i Schupo brwinowskie. Wieś Żbików nie została objęta kordonem. W tych warunkach na umówione miejsce w żaden sposób nie mogłem się dostać. Udałem się tam zaraz po zdjęciu blokady. Od zdenerwowanego i wystraszonego Makowskiego dowiedziałem się, że o umówionej godzinie przed jego dom zajechała piękna, kryta limuzyna, z której wysiedli dwaj oficerowie w gestapowskich mundurach i skierowali się wprost do jego mieszkania, gdzie jeden z nich bez słowa wydobyl z kieszeni munduru odpowiednik kartki, zawierającej hasło. Makowski oświadczył mi, że odniósł wrażenie, iż jest to wsypa, gdyż na podobną mistyfikację nie był przygotowany. To wrażenie potęgował fakt, że obaj Niemcy nic nie mówili. Makowski, zdając sobie sprawę, że ukrywanie i wypieranie się w jego położeniu nic już nie zmieni, gdyż w razie rewizji paczki z łatwością zostaną odnalezione, udał się po nie do szopy. W ślad za nim udali się obaj gestapowcy. Po chwili paczki zostały przez Makowskiego przeniesione do samochodu, gdzie oprócz dwóch oficerów, siedział umundurowany szofer i żołnierz z rozpylaczem. Makowski po przeniesieniu paczek stał niezdecydowany koło samochodu i czekał na moment aresztowania. To jednak nie nastąpiło. Jeden z oficerów coś tam po niemiecku pokrzyczał i pogroziwszy Makowskiemu pięścią zajął miejsce w samochodzie, po czym samochód ruszył, zatrzymując się o sto metrów dalej. W tym miejscu stali aż do powrotu z łapanki żandarmów z Zaborowa wiozących kilkana samochodami schwytyanych Polaków. Dopiero wówczas ruszyli w ślad za nimi w kierunku Ożarowa. Scenę tę zdążyłem sam zobaczyć, gdyż w tym czasie przybyłem do Żbikowa. Przyznaję, że po wysłuchaniu opowiadania Makowskiego, całkowicie podzieliłem jego niepokój i nie

umiejąc sobie wyjaśnić, dlaczego gestapowcy w tak niezwykle sposób postąpili, nie tracąc ani chwili, czym prędzej udałem się do adiutanta 2 batalionu, któremu złożyłem raport o zaszłych wypadkach. Ten ostatni, również przejęty tym zdarzeniem, z miejsca pobiegł zawiadomić "górze".

Do chwili wyjaśnienia tego incydentu, obaj z Makowskim ukrywaliśmy się. Dnia 24 maja 1944 roku nadeszła odpowiedź podpisana przez dowódcę 2 batalionu "Bohuna" zawiadamiająca, że odbiorcy amunicji to "nasi". Ciężar niepewności spadł nam z serca i dopiero teraz zrozumieliśmy, że milczenie odbiorców, jak również scena przy samochodzie, były tylko zagrane, co miało na celu nie wzbudzanie podejrzeń osób, które obserwowały tę akcję, drżąc o skórę własną i Makowskiego.

Dla podtrzymania kamuflażu rozpuściliśmy plotkę, że gestapowcy skonfiskowali nam 60 kg mięsa i słoniny, w co ludzie uwierzyli.

Wynoszenie broni z zablokowanego magazynu

Na przestrzeni czterech lat zajmowania się bronią, takich i podobnych jak opisane zdarzeń miałem dość dużo. Nie sposób teraz wszystkiego odtworzyć, gdyż i pamięć zawodzi i są to zdarzenia drobniejsze. Obecnie żałuję, że nie prowadziłem systematycznego dziennika. Niektóre przeżycia muszą pominąć milczeniem, gdyż na potwierdzenie ich prawdziwości brak mi dowodów. Obecnie opisuję przeżycia związane z przenoszeniem broni przed wybuchem powstania.

Jak już zaznaczyłem w jednym z rozdziałów, kompanii mojej miała - na wypadek powstania - przypaść rola opanowania szpitala Tworki. Plan uderzenia i sposób zaalarmowania ludzi, były gruntownie przestudiowane i przygotowane.

W dniu 15 lipca 1944 roku, a więc na dwa tygodnie przed wybuchem powstania, na teren wsi Żbików przybyła zmotoryzowana jednostka wojsk niemieckich i zajęła stanowiska wokół kościoła, co niemal całkowicie spariżyło możliwość wyniesienia broni w wypadku otrzymania rozkazu. Samochody zostały rozlokowane w ten sposób, że do ewentualnego wykorzystania pozostały tylko dwa odcinki parkanu, (patrz szkic sytuacyjny na str.21) front i strona przeciwna. O wynoszeniu broni frontem nie mogło być mowy, ponieważ od godz.19. Niemcy wystawiali dwa posterunki, jeden z lewej, drugi z prawej strony kościoła. Pozostawał tylko przeciwny odcinek ogrodzenia. Odcinek ten też nie był łatwy, gdyż kuźnia i kuchnia kolumny, ustawione były już za załamaniem parkanu i wartownik co jakiś czas tam dochodził. Wojsko zostało zakwaterowane zarówno po jednej jak i po drugiej stronie kościoła, zajmując zabudowania gospodarcze, częściowo lewe skrzydło plebanii i prawe domu dla służby kościelnej. W oknie budynku gospodarczego ustawili karabin maszynowy z ostrzałem na ogród i szosę wiodącą do Ożarowa.

Pomimo obecności tak niepożądanych opiekunów, niemal co noc byliśmy w magazynie, ażeby wszystko jak najdokładniej przygotować do ewentualnego wydania. Nasze wizyty w magazynie w tym czasie miały i te dobre strony, że mogłem swobodnie przeprowadzić obserwację, ustalając, jak zachowują się wartownicy, w jakich godzinach odbywają się zmiany i zgłębić tryb życia kolumny w porze nocnej.

W tym celu kilkakrotnie udawałem się na wieżę i korzystając z dość pogodnych i jasnych nocy, obserwowałem teren. Między innymi ustaliłem ściśle godziny i sposób zmiany wart, teren ich patrołowania, jak również fakt, że poczynając od godziny 23 wartownicy nie chodzili oddzielnie, każdy po swojej stronie, ale schodzili się razem i prowadząc głośne rozmowy wspólnie obchodzili teren na odcinku, gdzie stały samochody.

Ponieważ ten sposób wartowania powtarzał się za każdą moją bytnością na wieży, przeto wyciągnąłem stąd logiczny wniosek, że ta dwójka ma służbę o jednej i tej samej porze. Żałowałem tylko tego, że nie znałem ich języka, gdyż wiedziałbym o czym co noc ze sobą rozprawiają.

Okoliczności te miały dla nas zasadnicze znaczenie, gdyż wynikało z tego, że w miejscu, gdzie miałem zamiar przenosić broń, siłą rzeczy zjawiali się rzadziej, sygnalizując swoje zbliżanie się głośnymi rozmowami.

W ostatnich dniach lipca 1944 roku jakieś dziwne podniecenie opanowało umysły i każdy przeczuwał, że coś musi nastąpić, że coś się stanie. Chociaż w rozkazach nie było żadnych specjalnych zarządzeń, wszyscy szykowali się do akcji. W mojej kompanii zarówno w kancelarii jak i w magazynie broni, wszystko było gotowe i zapięte "na ostatni guzik". Dnia 27 lipca przybyli na teren Żbikowa "Składowy H", dowódca 2 batalionu "Bohun" i dowódca 5 kompanii "Kmicic". Na tę odprawę zostałem i ja wezwany. Tematem odprawy było omówienie sposobów wyniesienia broni i rozwiezienia jej na punkty wypadowe do natarcia. Po moim referacie, w którym dokładnie opisałem stan faktyczny panujący wokół kościoła, wysunięto szereg projektów, między innymi projekt uderzenia na blokujący oddział. Projekt ten był łatwy do zrealizowania, gdyż Niemców można było zaskoczyć - z drugiej jednak strony akcja taka mogła mieć opłakane następstwa.

Pomimo niebezpieczeństwa, grożącego bezpośrednio mnie i moim pomocnikom, postanowiłem wynieść broń we własnym zakresie i z grubsza przedstawiłem swój plan zebrany. Plan nie odrazu został przyjęty. Musiałem przekonywać zebranych różnymi argumentami, ale dzięki mojemu zapałowi, jak również wierze w szczęśliwe zakończenie przedsięwzięcia, uzyskałem aprobatę.

Rozkaz wyniesienia broni i opróżnienia magazynu nadszedł 29 lipca 1944 roku przed południem. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że na-

gromadzonej broni nie zdołam przenieść za jednym zamachem. Ze "Składowym H" ustaliłem następującą kolejność:

noc z 29 na 30.07. sprzęt saperski i materiały do dywersji kolejowej,

noc z 30 na 31.07. sprzęt stanowiący depozyt pułku,

noc z 31 na 1.08. sprzęt stanowiący własność 5 kompanii,

noc z 1 na 2.08. sprzęt stanowiący własność 6 kompanii.

Dnia 29 lipca po dokładnym opracowaniu planu, zażądałem przydzielenia do pomocy dwóch kobiet z organizacji. O godz. 15 zgłosiły się dwie łączniczki przydzielone przez referentkę łączności WSK (Wojskowej Służby Kobiet) VI Rejonu VII Obwodu "Obroża" Henrykę Zdanowską, pseudonim "Barbara". Miały numery służbowe 145 i 155. Obydwie były mi bardzo dobrze znane. Jedna z nich to Marysia Prusakówna, zamieszkała we wsi Żbików, druga, to córka dowódcy kompanii "Kmicica". Nazwisko ojca jak i jej nie było znane, wiem tylko, że nosiła imię Krystyna.

Na godzinę 16 zarządziłem odprawę w mieszkaniu ks.kanonika Dyżewskiego, na którą wezwałem Jesiołowskiego, Makowskiego, wymienione wyżej łączniczki i dowódcę kompanii "Kmicica".

Na odprawie dokładnie pouczyłem każdego o jego roli w akcji. Dla ułatwienia zadania ks.Dyżewski wydał mi klucze od kościoła, przyrzekając w miarę możliwości, odwracać uwagę wartownika pełniącego służbę od strony plebanii.

Do kościoła udaliśmy się na krótko przed zaciągnięciem wart, zachowując pewną kolejność i odstępy czasu. Po zdjęciu obuwia udaliśmy się do magazynu i przystąpiliśmy do pracy polegającej na przygotowaniu sprzętu saperskiego i pionierskiego. Cały ten sprzęt został zapakowany w siedem dość dużych paczek, które postanowiłem wynieść z kościoła następnego dnia rano, podczas nabożeństwa. Noc w magazynie przy odbiorniku zeszła szybko. O godz. 5.45 pozostawiając wszystkich w magazynie, sam wyszedłem z kościoła, ażeby oddać klucze ks.kanonikowi, po które o godz. 6 przychodziła nie wtajemniczona kościelna. Po zlustrowaniu terenu, o godz.7.30 byłem już normalną drogą w kościele. Ponieważ samo wyjście ze schodów do kościoła mogłoby wzbudzić podejrzenia, postanowiłem więc, że wszyscy zejdziemy na chór do organów i dopiero stamtąd, na dany przeze mnie znak, każdy będzie starał się wydostać z kościoła. Jako pierwsza wyszła z dwoma paczkami Marysia Prusakówna - po niej Krystyna, następnie Makowski i po nim Jesiołowski. Ten ostatni wyszedł z jedną paczką, po czym za parę minut wrócił po drugą. Ja wyszedłem z kościoła jako ostatni. Całość akcji była wykonana tak dyskretnie, że nawet obserwujący kościół ks.Dyżewski nie widział nikogo z nas wychodzącego z kościoła.

Wynoszenie sprzętu depozytowego.

Akcja wyniesienia sprzętu depozytowego, ze względu na jego ilość i rodzaj, mogła być wykonana tylko w nocy. Wśród tego sprzętu były między innymi dwie rusznice przeciwpancerne, metalowe celki z granatami o okazałych rozmiarach i inne rodzaje broni jak pistolety automatyczne "steny", świece dymne itp.

Ze względu na bezpieczeństwo do akcji tej nie mogłem użyć większej ilości ludzi i dlatego w nocy z dnia 30 na 31.VII. do kościoła udaliśmy się w trójkę, tzn. Jesiołowski, Makowski i ja. Klucze tak jak poprzedniego dnia wydawał mi ks.Dyżewski.

Przed wystawieniem posterunków udaliśmy się do kościoła i po zdjęciu butów ruszyliśmy na górę do magazynu. Ponieważ paczki były już przygotowane, do godz.23 siedzieliśmy słuchając radia. Samo wyniesienie sprzętu z kościoła ustaliłem na godz.1 po północy.

O godz.23 udałem się wyżej na wieżę i po ustaleniu, że wartownicy jak zwykle łążą we dwójkę - przystąpiliśmy do pracy, dzieląc ją na kilka etapów:

- I - to wyniesienie sprzętu z magazynu na sklepienie,
- II - ze sklepienia na chór,
- III - z chóru na dół,
- IV - spod chóru do drzwi koło zakrystii położonych najbliżej parkanu,
- V - z kościoła pod parkan,
- VI - przerzucenie na drugą stronę parkanu,

VII - zabranie spod parkanu i przeniesienie na pole Zofii Bandurskiej, której nazwiska po mężu nie pamiętam (mieszkancki Żbikowa) i umieszczenie w kopkach żyta, już uprzednio wybranych z dowódcą kompanii "Kmicicem", w celu łatwiejszego trafienia na właściwe.

Etapy I, II, III i IV stanowiły pracę chociaż bardzo trudną, bo wykonywaną w ciemnościach, ale jednak nie taką niebezpieczną, ponieważ odbywała się ona wewnątrz kościoła.

Etapy V, VI i VII wymagały nadzwyczajnego opanowania nerwów i całkowitego spokoju. Zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, że nam w razie nieszczęścia może udać się uciec, ale położenie mieszkańców Żbikowa i naszych najbliższych byłoby straszne. Przyciśnięty brzemieniem odpowiedzialności za całość broni i życie mieszkańców wioski - po krzepieniu się modlitwą przed cudownym obrazem Matki Najświętszej - zachwoując nakazaną ostrożność, otworzyłem drzwi i wyszedłem z kościoła, ażeby ustalić gdzie są i co robią wartownicy. Po dłuższej chwili, czając się pod parkanem, usłyszałem ich rozmowy i kroki. Kroki zbliżały się w moim kierunku. Po dojściu do załamania parkanu, zawróciły udając

się w przeciwnym kierunku. Po chwili wszyscy trzej podzuciliśmy pod parkan kilka paczek. Zachowując łączność słuchową z wartownikami, dwukrotnie przerywaliśmy naszą robotę. Następnym etapem, polegającym na przerzucaniu broni przez parkan, został wykonany w ten sposób, że ja z Jesiołowskim przedostaliśmy się na drugą stronę, a Makowski podawał nam paczki. Po odejściu wartowników, przy zachowaniu przez nas absolutnej ciszy, paczki znalazły się po drugiej stronie ogrodzenia.

Po wykonaniu tej części pracy odetchnęliśmy z ulgą, chociaż ostatni etap nie należał do łatwych, gdyż oddalając się z paczkami, traciliśmy kontakt z wartownikami i każdy nasz powrót po następną porcję przedstawiał nielada niebezpieczeństwo. Rozmowy wartowników, jak również fakt że w nocy zaczął padać tzw. "kapuśniaczek", bardzo ułatwiły zadanie. Tu jeszcze dodam, że przy każdym zbliżeniu się szwabów przelaziliśmy za parkan, pozostawiając paczki w dość mizernych krzewach.

Postępując w ten sposób przenieśliśmy wszystkie paczki na wspomniane pole, skąd następnego ranka zostały zabrane przez ludzi "Skałdowego H".

Wyczerpani do ostatecznych granic, zmoknięci i przemarznięci do szpiku kości, o godz.4 rano udaliśmy się na kwaterę dowódcy "Kmicica", mieszczącą się w Domu Starców w Zbikowie, pozostającym pod kierownictwem Jadwigi Wielgusówny, zajmującej to stanowisko przez wiele lat. Pani Jadwiga oczekiwała na nasz powrót, modląc się gorąco w naszej intencji.

Po doprowadzeniu swego wyglądu do porządku, o godz.5.30 odniosłem klucze ks.Dyżewskiemu, który również nie spał tej nocy i kilkakrotnie wychodził z domu obserwując teren.

Następnej nocy z 31 lipca na 1 sierpnia 1944 roku przenosiliśmy sprzęt 5 kompanii. Sprzęt był spakowany w ten sposób, że każda sekcja miała swoją paczkę. Ponieważ kompania dzieliła się na trzy plutony a te miały w swoim składzie trzy drużyny po trzy sekcje w każdej - przeto było 27 paczek dla sekcji plus jedna paczka dla drużyny dowódcy. Prace przeprowadzone zostały w tym samym składzie osobowym i w taki sam sposób jak poprzedniej nocy. Rano o godzinie 7 wszystkie paczki złożone przez nas w kopkach zostały załadowane na wóz, który służył do wywożenia nieczystości w stanie płynnym i przewiezione na miejsce postoju dowódcy w Malichach, tuż przy szpitalu Tworki oraz umieszczone na terenie posesji p.Sawickiego. Ponieważ koledzy i ja sam - byliśmy nieludzko wyczerpani fizycznie i psychicznie, dowódca kompanii "Kmicic" do tej niełatwej pracy wyznaczył innych ludzi.

W nocy z 1 na 2 sierpnia, już po wybuchu Powstania w Warszawie, został wyniesiony sprzęt 6 kompanii i przekazany zainteresowanym. Proce-

dura była identyczna jak podczas poprzedniej nocy. Tegoż dnia o godz.3 po południu wyniesione zostały resztki sprzętu, który nie mógł mieć praktycznego zastosowania w akcji i bez wiedzy ks.Dyżewskiego został zakopany w jego ogrodzie. Wszelkie ślady po istnieniu magazynu zostały całkowicie zatarte.

Ponowne przewożenie broni z Malich do Żbikowa.

W tym czasie Powstanie w Warszawie było już faktem dokonany i raz puszczonej w ruch maszyny nie można było zatrzymać. Do wybuchu powstania w Pruszkowie nie doszło, dzięki czemu miasteczko jak i jego mieszkańcy ocalili i mogli nieść pomoc nieszczęśliwym wygnańcom z Warszawy.

Druzgocąca maszyna zemsty niemieckiej została również puszczonej w ruch, znacząc się krwią i łunami; nie minęła i Pruszkowa. Przez nasze miasto przelewały się fale różnych oddziałów niemieckich, a granice miasta ze wszech stron zostały opasane śmiercionośnymi aparatami o sześciu lufach. Poruszanie się w terenie było bardzo utrudnione. Codzienne łapanki w poszukiwaniu uchodźców warszawskich, niejednokrotnie zgarniały mieszkańców Pruszkowa. Pociąg za pociągiem zwoził wysiedleńców do warsztatów kolejowych. Rozbestwione żołdactwo strzelało do każdego, kto chciał podać chociażby wody spragnionym. Na cmentarz zaczęto zwozić ofiary dzikiej nienawiści garmańskiej. Pod pozorem poszukiwania ukrywających się warszawiaków płądrowano mieszkania. Żandarmeria z Zaborowa, schupo brwinowskie i gestapo z Łowicza przeprowadzali pacyfikację w całym tego słowa znaczeniu według wypróbowanych metod.

W takim czasie otrzymałem rozkaz dowódcy pułku, zakomunikowany mi przez "Kmicica", żeby w jak najszybszym czasie zabrać broń z Willi Sawickiego w Malichach, gdzie mogła paść pastwą płomieni, lub zostać odkryta przez wałęsające się po wszystkich domach żołdactwo. Podzielając stanowisko dowódcy, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, zająłem się tą sprawą tym bardziej, że broń tę ukochałem więcej niż własne życie i sam pragnąłem mieć ją jak najprędzej na starym miejscu. Dowódca kompanii "Kmicic" zaproponował, ażeby zainscenizować pogrzeb i przewieźć broń w trumnie. Myśl ta, choć dobra, trudna była do wykonania, gdyż zaangażowanie większej liczby żałobników nie było łatwe, przy tym za dużo osób byłoby wtajemniczonych o miejscu złożenia cennych "zwłok", czego za wszelką cenę należało uniknąć. Po dokładnym zbadaniu sytuacji w Malichach i na całej trasie, postanowiłem postąpić według swego planu i wierząc w moją dobrą gwiazdę, która nigdy mnie nie zawiodła, zabrałem się do dzieła.

Postanowiłem mianowicie, że broń krótką, amunicję i steny przeniesiemy ręcznie, a broń długą wozem. W tym celu do pomocy zaangażowałem poza Makowskim i Jesiołowskim, Tadeusza Bielawskiego, dwóch ludzi z trzeciego plutonu "Sępa" i "Orła" (nazwisk nie pamiętam) i żonę swoją Janinę. Na odprawie w dniu 11.IX. wszystkim wyjaśniłem, co jest do zrobienia i wskazałem drogi, którymi należy maszerować, jak również miejsce, gdzie należy pozostawić paczki na terenie majątku Żbików. Sam z Jesiołowskim udałem się do Malich, gdzie po odkopaniu sprzętu, przystąpiliśmy do ładowania paczek w przyniesione w tym celu torby.

Paczki te zostały następnie wydane przez nas zaangażowanym ludziom. Ja wraz z żoną opuściliśmy teren jako ostatni, przy czym żona niosła jedną paczkę, ja dwie. Po zasypaniu jamy, w której pozostało jeszcze 20 karabinów, 1 sten i dwa pudełka filipinek, udaliśmy się w powrotną drogę. Jakimi drogami przedostali się do Żbikowa moi ludzie, nie wiem, gdyż na pytania nie było czasu. Ja z żoną poszedłem prostą drogą i omal nie wpadłem w pułapkę.

Na ulicy 3 Maja róg Szkolnej, po jednej i drugiej stronie ulicy, żandarmeria przeprowadzała kontrolę dokumentów, sprawdzając zawartość paczek i konfiskując rowery.

Zajęty rozmową z żoną, sytuację tę zauważyłem nieomal w ostatniej chwili. Nie zastanawiając się ani sekundy, wbiegliśmy do sklepu Piotra Kuklińskiego, przedostając się przez sklep na klatkę schodową, a następnie do zamieszkałego w tym domu Stefana Wolskiego, mego przyjaciela, który częściowo był wtajemniczony w moją działalność. Odczekawszy krytyczny moment udaliśmy się w dalszą drogę.

W majątku zastałem wszystkich swoich ludzi, których zaraz zwolniłem, pozostawiając Makowskiego i Jesiołowskiego. Zniesione paczki zostały chwilowo przechowane w melinie z siana, o której już pisałem.

Następnego dnia przystąpiłem do zorganizowania transportu pozostaionych w Malichach karabinów, granatów itp. W tym celu od mieszkańca wsi Żbików Józefa Kunowskiego wypożyczyłem wóz, pług i broń, a od swego kolegi Kazimierza Piaścika zamieszkałego w Pruszkowie przy ul. Promyka 9, konia. Piaścik wiedział, do czego jest mi potrzebny koń. Ucharakteryzowany za rolnika, udałem się tym zaprzęgiem do Malich i po załadowaniu na wóz pozostałego sprzętu, przykryłem to wszystko łęcina-
mi od kartofli, kładąc na wierzch pług i broń kolcami do góry. Żegnany przez Sawickiego udałem się w drogę powrotną. Droga prowadziła przez Malichy do przejazdu kolejowego przy tzw. "papierni", a następnie ulicą Długą aż do Żbikowa. Największą trudność stanowiło przejechanie przejazdu, gdzie w związku z transportami warszawiaków pełno było gestapowców, żandarmów, czarnych kolejarzy i wojska. Przyznaję, że na ich



WOJSKOWY
INSTYTUT HISTORYCZNY

Nr 1262/63

Idola 13. 11 1963.
w Warszawie

Nr uch.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Wzłączyć:

Zaświadcza się, że ob. Roman ZAREMBA sam. w Toruniu, ul. Matejki 49 m.3 przekazał do Wojskowego Instytutu Historycznego w dniu 10.11.1963 r. relację z działalności magazynu uzbrojenia 5 komp.6 pp AK W-wa Powiat wraz z dokumentacją prowadzoną przez w/w w trakcie pełnienia służby.

KIEROWNIK ZAKŁADU II
WOJSKOWEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO

W.Z. Graf. W-wa. Zam. 1508 z do. 8.11.61. — 2008 CW-42819.

widok, pomimo załadowanego pod siedzeniem stena, dwóch filipinek i wi-sa za sukmaną, czułem się nieszczególnie. Udając spokój, choć pot mi zalewał oczy, śmiało wjechałem na tory i poganiany przez czarnych, gdyż w oddali widać było nadjeżdżający pociąg elektryczny z Warszawy, przedostałem się na drugą stronę torów. Tu poczułem się bezpiecznie jak u siebie w domu, chociaż przed sobą miałem jeszcze ponad kilometr drogi. Tak jednak byłem pewny siebie, że już na nic nie zwracałem uwagi. Mi-jając Niemców pogwizdywałem sobie zawadiacko i w świetnym humorze dobiłem do Żbikowa, gdzie zostałem owacyjnie powitany przez małżon-ków Glazerów, Jesiołowskiego, Makowskiego i "Kmicica". Wóz po rozładunku został odesłany do Kunowskiego, a ja wierzchem udałem się do właściciela konia.

Kilka dni po tym cały sprzęt z Malich, jak również sprzęt zakopany w ogrodzie ks. Dyżewskiego, został pomimo obecności Niemców, wniesiony na dawne miejsce w kościele, przy czym uważałem za stosowne nie infor-mować o tym proboszcza, ażeby nie zatruwać mu więcej spokoju.

Doprowadzenie wszystkiego do porządku zajęło nam kilka nocy.

W pamiętny dzień wkroczenia do Pruszkowa Armii Czerwonej i pier-wszych oddziałów Wojska Polskiego, całą posiadaną broń dobrowolnie przekazałem jednostce WP nr poczty polowej 70603, otrzymując w za-



Lata 1945-1947 Garnizonowy Klub Żołnierza w Toruniu, zespół "Awangarda" kierowany przez Romana Zarembę.





Kwartet wokalny Zakładów Mięsnych w Toruniu, który prowadził Roman Zaremba od połowy lat pięćdziesiątych aż do śmierci.

mian pokwitowanie. Było to w dniu 19.I.1945 r. w godzinach popołudniowych. W towarzystwie żołnierzy z jednostki nr 70603 udałem się do ks.kanonika Dyżewskiego, któremu przedstawiłem cel naszej wizyty. Zdumienie ks.kanonika było bezgraniczne, gdyż ani przez chwilę nie przypuszczał, że broń została wniesiona z powrotem. Po chwili broń na dwóch wozach została przewieziona i przekazana. Zdumienie odbiorców było nie mniejsze, a spowodowała je pokaźna ilość broni i pierwszorzędny jej stan.

Dzisiaj, rozpamiętując z perspektywy czasu te niesamowite przeżycia, doszedłem do przekonania, że nad magazynem czuwała i w pracy naszej niosła nam pomoc Patronka Kościoła w Żbikowie - Matka Najświętsza i Królowa Korony Polskiej, której Cudowny Obraz mieści się w Wielkim Ołtarzu.

Od swoich władz otrzymałem kilkakrotnie wyróżnienia za swoją pracę.